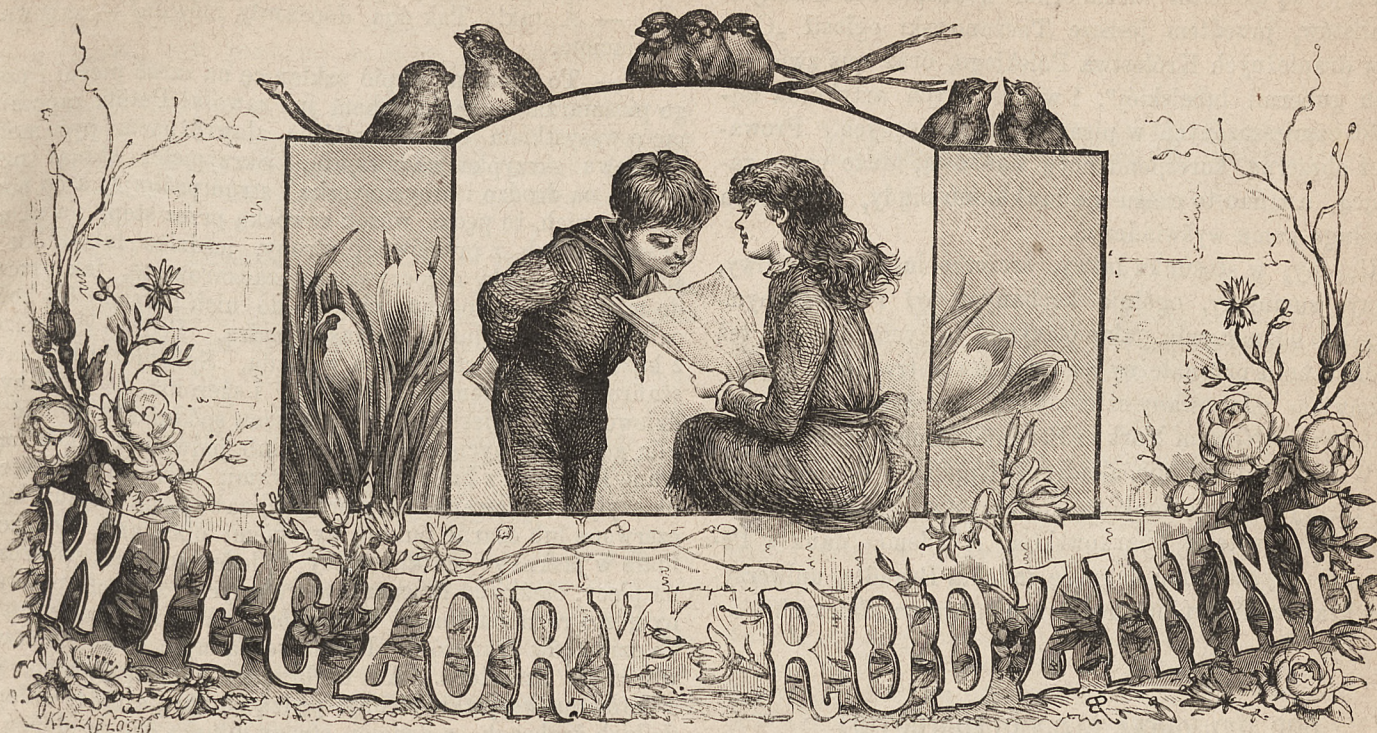




TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakeyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



Władysław Taczanowski.

Cichą pracą, nauką prawdziwą, i zasługą tem większą, że mało o sobie trzymającą, odznaczał się zmarły w zeszłym miesiącu w Warszawie w 70 roku życia ś. p. Władysław Ta-

czanowski, od r. 1855 kustosz tutejszego gabinetu zoologicznego, niepospolity przyrodnik, głównie badaniu ptaków oddany. Od lat młodych zamiłowany tę właśnie gałęź zoologii (zwaną *ornitologią*) ciągle się nią zajmował, a wytrwałą i sumienną pracą doszedł do tego, że stał się chlubą kraju, zjednaawszy sobie sławę uczoności nie tylko u nas, ale i w Europie całej, gdzie nazwisko jego stoi w rzędzie najznakomitszych współczesnych przyrodników.

Młodzieńcem jeszcze będąc, ze strzelbą na ramieniu i torbą myśliwską przeznaczoną na zachowywanie znalezionych okazów, puścił się na wędrowkę po kraju w celu bliższego zbadania sposobu życia i obyczajów zwierząt. Potem dalekie podróże odbywał, a powróciwszy, i otrzymawszy posadę kustosza przy gabinecie zoologicznym, nie ruszał się ztąd prawie, porządkując coraz to liczniej gromadzące się okazy, dzięki ofiarności podróżników, jak hrabiowie Aleksander i Konstanty Branicey, którzy zwiedzając Algeryą, Egipt i Kaukaz, mieli sposobność nabywania rzadkich i cennych egzemplarzy, oraz profesor Dybowski słynny badacz fauny sybirskiej.

Taczanowski nawiązał stosunki z uczonymi całego świata, a zjednaawszy sobie ich uznanie sprawozdaniem o ptakach różnych stref, które pomieszczał w specjalnych pismach zagranicznych, coraz więcej rozszerzał działalność swoją.

Prócz pracy, jakiej wymagało doprowadzenie do porządku coraz to częściej nadsyłanych darów, (gabinet warszawski liczy dziś około 5,000 gatunków ptaków, t. j. jak powiadają uczeni, blisko połowę gatunków całego świata), miał jeszcze czas na pracę autorską. *Ornitologia Peru*, po fran-

cuzku napisana, *Ornitologia Sybiru*, której druk jeszcze nie skończony, są dziełami niezmiernie ważnymi dla uczonych specjalistów, przedtem jeszcze Taczanowski ogłosił „Opis ptaków drapieżnych Królestwa Polskiego, oraz spis zwierząt ssących gubernii lubelskiej”, i wiele innych artykułów tejże treści zamieszczonych w pismach peryodycznych. Prowadził też obszerną korespondencję naukową, dużo czasu zabierającą, a mimo to czasu nie brakło mu nigdy, gdy trzeba było usługę komu wyświadczyć.

Uczony, w stosunku łatwy, szczerze ludziom życzliwy, skromny, sumienny, ogólnie kochanym był i poważanym. Zaszczytne odznaczenia jakie otrzymał za życia dowodzą też że oddano hołd przynależny jego nauce i wytrwałej pracy.

Był bowiem mianowany członkiem Towarzystw: Uczonych ornitologów w Nowym Yorku i Berlinie, Zoologicznego w Paryżu, Wiedniu i Londynie, akademii Hippony w Bonne (w Algerji) rzeczywistym członkiem Towarzystwa badaczy przyrody przy uniwersytecie charkowskim, Akademia nauk w Petersburgu przyznała mu nagrodę imienia Brandta, uniwersytet zaś krakowski dyplom doktora nauk przyrodniczych.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIEŃSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Oczarowała czarownica! Dziecko zachorowało! — zawołano w tłumie, przerywając głuchą chwilową ciszę. Na ten krzyk, nietylko ojciec który był blisko, ale i matka wybiegła z głębi chaty na ratunek jedynaka. Lecz Szandor stał już krzepko, tylko zdziwionym jakby ze snu zbudzonym wzrokiem spoglądał w około.

— Przekłęta czarownico! — krzyknie Petőfi pięść podnosząc — miałaś wróżyć na szczęście, to wróż!... co ty mi tu będziesz sztuki jakieś szatańskie z dzieckiem wyprawiać!...

Cyganka, która tymczasem ciekawie przyglądała się lewej dłoni Szandora, odskoczyła rozgniewana.

— Otóż nie będę — zawołała — on już sobie sam wróżył. „Jak step szeroki niebo z ziemią społem”, ujrzą płomień z tej iskry którą w nim rozdmuchałam w tej chwili, co innym świecić a jemu płonąć w piersi bolącym zarzewiem będzie, a ty bacz aby nie bez twego błogosławieństwa płonęła, bo bez cygańskiej wróżby łatwo się ostać, ale bez ojcowskiego błogosławieństwa biada!... — Dokończając tych słów z chyżością języka właściwą swemu pokoleniu, z ręką wzniesioną jakby do błogosławieństwa ale z gniewem w palającym oku, cyganka cofnęła się nagle i znikła w tłumie. Napróżno ruszono się w tej chwili, chcąc ją lepiej o znaczenie tajemniczych słów wypytać, lecz Marcha jakbysię w ziemię zapadła, i nie ujrzano jej więcej owęj niedzieli.

— Tfy!... — energicznie po madziarsku zaklął Petőfi — żeby ta stara jęcza... — i kłął dalej, a wszyscy otaczający pomagali mu chórem. A wtem stary skrzypek cygan zły, że sprowadzeniem wróżki wywołał gniew zamiast zadowolenia, począł kłąć jeszcze gwałtowniej, aż przekrzyczawszy wszystkich obfitym potokiem złorzeczeń, mających spaść na Marchę, wyrzekł:

— Ale cóż to ona naprawdę przepowiedziała?... Jeżeli się nie mylę to sławę szeroką jak step i niebo z ziemią społem, sławę twemu synowi gospodarzu, taką, i większą może jaką rozbrzmiewa niejedna pieśń dla twórcy swego od wieków po czardach i stepach i lasach, ta pieśń która pali pieśniarza bolącym w piersi zarzewiem, dopóki nie wyśpiewa jej świata, a wtedy zaraz druga boleć zaczyna. Wszak to wróżyła Marcha dziecku, boć ono pieśni składa samo? Czy nie tak?

— Pieśni składa? Sławę wróżyła? A no... może i tak... — namyślał się ojciec.

— A tak! Tak ona doprawdy mówiła! — zapewniali przyjaciele.

— To chodźmy wypić szklanicę na cześć pieśni i nowego pieśniarza! — ze śmiechem już zawołał Petőfi, zapominając o wszystkim co we wróżbie złowróżbnem być mogło. I znowu skrzypka zadźwiękla. Skrzypiciel stanął przed czardą na drodze i niby smyczka i strun próbuje, a co pociągnie po nich, to pędzi wózek czwórką przez stopy, a za nim, przed nim lub z przeciwniej strony, jeździec lub kilku ich śmiga. Skrzypki najoczywiściej zaczarowane, jak pszczoły do miodowego zapachu, ciągną do nich ludzie. Co i to czikos, kanasz, juhas, gulyasz i pędzą. Pędzą i dziewczęta, z każdego wózka choć jedna wysiada. Spódniczki króciutkie szafirowe lub ciemne a fałdzyste i szerokie, że każdaby się dziewczyna z dziesięci razy we własną spódniczkę owinać mogła; gorseciki wycięte aksamitne lub jedwabne; białe haftowane koszulki z bufiastemi rękawami; czerwona chusteczka na szyi, skrzyżowana na piersiach, zawiązana z tyłu; buciki czerwone lub czarne pukają wysokimi obcasami, pończochy białe w jaskrawe centki; włosy w jeden warkocz spuszczone na plecy, ciężki od łańcusków srebrnych i złotych, przetykany gęsto różnobarwnymi wstążkami; na szyi błyszczy po kilka sznurków granatów. Każda zeskakując z wózka chwytając w uściski Szandora. Aż tu brzęczy i dźwięczy step, palą z batów na wszystkie strony, pędzą chmarą czikosy oklep na dzikich żrebcach, z drugiej strony błyska coś w słońcu, to kanasze pędzą wywijając czekanami. Kto wprzód do gospody przypędzi ten wygrał, będzie miał z kim tańczyć, bo dziewcząt nigdy niema tam do zbytku. Nikt się nie umawiał ale każdy rozumie że to wyścig. Wpadają czikosy, porywa ten i ów dziewczynę do tańca, ale i kanasze wpadają, niema dziewcząt?... więc w górę podnoszą czekany: brzęk szczęk!... ostrza krzyżują się jak błyskawica, kobza odzywa się niespodzianie. Kanasze sami tańczą przed domem. Okrzyk rozlega się w izbie, dziewczęta porzucają taniec, starzy z szklanicami w ręku, kto żyw bieży patrzeć na taniec kanaszów, taniec z czekanami. Kto tego nie widział nie wie co to jest prawdziwy taniec wojenny.

Przed dziesięciu wiekami tak Madziary tańczyli między jednym a drugim bojem przed wodzem swym Arpadem: Arpad sam, tak wielki Arpad tańczył! Niema drugiego takiego tańca w Europie, jak niema w niej ludu tak zupełnie pierwotnego, któryby w głębi lasów potrafił przechować się takim, jakim był u swego źródła. A kobza brzęczy na tę samą nutę co Arpadowi.

Ale oto jeszcze grzmi i huczy coś w dali, możnaby mniemać że to znowu gdzieś czikos, bo pali z bata jak z armaty, ale czekan błyska jak kawałek słońca: śmiga jak błyskawica, już nadleciał, już porzuca rozhukanego konia, już wpada, to Sobri! Dzielnym Sobri, piękny, sprawiedliwy. Oto przed rokiem jeszcze zanim go pandury przychwycili, strzelił w łeb w obec całej bandy jednemu ze swych szegeny legeny za to, że zabrał wieśniacze towary wiezione do miasta na sprzedaż. Wszyscy ścisają Sobrego, piją do niego: źli ludzie tylko go się obawiają, ubodzy i uczciwi kochają go. On tańczy, śpiewa aż się gospoda trzęsie, a którą dziewczę do tańca wybierze, ta jest na cały tydzień dumna i szczęśliwa. Wszystkie ławy z izb wyniesiono, cyganie muzykanci siedzą na poodwracanych beczkach i grzmia od ucha, Sobri tańczy.

— Ach matusiu, jakiż on śliczny! Jak ślicznie tańczy! Jakie ma śliczne wąsy! a jaki ma płaszcz wyszywany! jaki cudny dolman z barankami! Jaki kapelusz ze wstęgami i z galonem! Ach matusiu jestże gdzie na świecie drugi taki prześliczny! Sobri—Tak szepece z uwielbieniem w głosie i zapalę w oczach mały Szandor, przytulony do matki, przypatrując się wraz z nią tańcom ochoczym. Petőfiowa na chwilę spoczywająca wśród gospodarskiego zakrętu, przyciska synka do piersi i szepece:

— Piękny jest Sobri to prawda, i prześlicznie jest wy-

strojony, drży przed nim jego banda, a uczciwi ludzie z nim się ściskają, a najpiękniejsze dziewczątka za zaszczyt sobie mają, gdy je do tańca wybierze; ale, choćby on dwa razy był piękniejszy i bardziej kochany i w pieśniach sławiony, to pamiętaj dziecko, ach pamiętaj że Sobri jest rozbójnik i złodziej!...

Szandor skrzywił się na te słowa okropnie: jeszcze wyraz rozbójnik, choć w rzeczywistości wcale od drugiego nie lepszy, przecież mniej wstrętnie brzmiał w uszach dziecka, może dla tego że był urokiem waleczności zamaskowany, ale złodziej!... fe!...

— Sobri — szeptała matka dalej — jest zacnego ojca syn! Sam uczciwym był kanaszem, dopóki mu się gwałtem nie zachciało pysznego płaszcza w barwiste kwiaty, kapelusza z wstęgami i galonami, dolmanu z barankiem....

— Szandor! jak się masz Szandor! Odwiedziłeś nas w lesie Bakony, jadłeś z nami z jednej misy, pomagałeś pandurów w pole wywieść, tyś już dorosły człowiek, witaj bracie! — zawoła piękny Sobri w przerwie między tańcami spozreglęszy malca, który pod świeżem matki natchnieniem nie poczuł się wcale zaszczycony owem braterstwem.

Od wczoraj do dzisiaj dowiedział się już przecież że nie trzeba nikogo w oczy złodziejem i rozbójnikiem nazywać, ugryzł się więc w język, który tylko co nie wypowiedział iż jego właściciel nie chce braterstwa z rozbójnikiem. Ale ojciec Petőfi nie domyślając się że syn tyle już z doświadczenia skorzystał, pośpieszył mu coprędzej z pomocą, aby mniej właściwą odpowiedź uprzedzić:

— Ho ho — rzecze — daleko chłopcu do zostania dorosłym człowiekiem, jeszcze konia własnego niema! — „Niem” znaczyło że go sobie nie schwycił i nie ujeździł tak, jak zwykle robią dorastający, a raczej ledwo z dzieciństwa wychodzący chłopcy na puszta. Bo zresztą na domowych koniach jeździ każdy dzieciak odkał chodzić umie.

— Co? jeszcze niema? taki dzielny chłopiec? Jakże to być może? — spytał ten i ów zdziwiony.

— Jabyń dał radę koniowi, tylko rodzice nie pozwalają! — powiedział Szandor zaczerwieniony i ze łzami w oczach.

— O! jedynaczek! Czy na piecucha wychować chcesz syna, Petőfi? Czy na niezdarę?

— Co znowu! — obruszył się ojciec, a matkę aż się na tę przypuszczalną zniewagę zaczerwieniła. Na puszcze, gdzie jak wśród ludów pierwotnych, osobista dzielność o wartości człowieka i jego prawach istnienia stanowi, niema większego poniżenia jak być niezdarą. To też i Szandor rozczarowany przed chwilą, aż zbladł teraz:

— Co znowu!... tylko dzieciak słaby jeszcze w rękę! — tłómaczył ojciec.

— Sprobujmy Pal (Pawle) — odparł Szandor, występując naprzód z zaciśniętymi pięściami, naprzeciw olbrzymiego czikosa, który pierwszy kwestyą zagaił.

— Sprobujmy! — odpowiedziano. W jednej chwili wszyscy mężczyźni byli na koniach, nie wyjmując gospodarza; matka tylko znaczące posłała mu spojrzenie, ale ani jednym słowem nie sprzeciwiła się zamiarowi, choć zadrżała w duszy o jedynaka, wiedząc dobrze co znaczą próby tego rodzaju. Wyzywający czikos Pal, z nieodstępną fajką w zębach, widząc że Szandor zabiera się także dośiąść jednego z domowych koni, schylił się lekko ze swego rumaka, pochwylił chłopczyń znielacka, pódadził przed sobą i świnnąwszy na swego wierzchowca, wykreślił się z nim młynica za jednym zamachem trzy razy na zadnich nogach, a potem przy ogólnym okrzyku zachwyconych widzów, śmignął w step jak strzała. Długie bicze huknęły jak tyleż wystrzałów i wszyscy polecili za pierwszym.

Matka Szandora nie zmrzyła oczu patrząc na to, ale podniosła je potem w niebo, jakby ztamtąd wzywała opieki nad dzieckiem, które z ręką jej się wydzierano, mimo własnej wiedzy. Pozostawione w czardzie kobiety rzuciły się pomagać gospodyni w przygotowaniu jedzenia, na spodziewany długi powrót mężczyzn. Pomagano nie żartem, i nie

żartem też zapasów potrzeba było, aby nasycić cały ten różnorodny i różnobarwny tłum, huczący co niedziela w stepowej odosobnionej gospodzie.

(d. c. n.)

Korespondencya Wieczorów Rodziny.

List Stefanka do młodszych braci.

Goryca dn. 15 Stycznia 1890 roku.

Kochani Miciu i Józio. Mówią ludzie że „niema tego złego coby na dobre nie wyszło” i doprawdy mają słusność: dzięki przebytyj w Warszawie influencyi i połączonej z nią słabości piersiowej, zobaczyłem kawał świata i teraz oto siedzę w pięknym ciepłym kraju, wśród okrytych zielonością pól i ogrodów, podczas gdy wy tam marzniecie i widzicie na ulicach tylko śnieg lub błoto.

Przyjechaliśmy tu przedwczoraj o godzinie pół do jedenastej podług warszawskiego, a zaraz po dziesiątej podług tułtejszego zegara. Może myślicie, że mój zegarek się spóźnia? Otóż nie, ale jedna i ta sama godzina, nie może być na całym świecie o jednej i tej samej porze, ponieważ w miejscach wiecój na wschód posuniętych, a do takich w porównaniu do Gorycy, Warszawa należy, słońce wcześniej wschodzi. Drogę z Warszawy do Granicy przebyliśmy niezbyt wygodnie; nie mogliśmy dostać osobnego przedziału, więc było nam trochę ciasno. Rodzice wcale nie spali, ja cztery do pięciu godzin; Adaś tylko spał jak zabity, bo jak wiecie jest to śpioch zawołany. W Szczakowie nie wysiadaliśmy wcale; wysiadł tylko na krótki czas ojciec z rzeczami do rewizyi. Z Trzebini do Wiednia jechaliśmy przez cały dzień; śnieg wszędzie leżał na polach ogromny, a w samym Wiedniu gęsto zasłane były ulice. Przybywszy do tego miasta, przejechaliśmy z dworca północnego na południowy. Miasta prawie nie widziałem, bo wszystko zasłaniała gęsta mgła; na skrócie ulicy tylko zauważyłem rzecz ciekawą, a dla nas nową zupełnie: wózek ciągnięty przez człowieka i psa okrytego derką. Ojciec kupił mi tu kapelusz. Wyjeżdżając z Wiednia, dostaliśmy na noc osobny przedział, to też spaliliśmy wszyscy nieźle, tylko zimno nam było trochę w nocy, bo przejeżdżaliśmy przez wysokie góry. Obudziwszy się, włożyliśmy zaraz ciepłe paltoty, ale około godziny dziesiątej zrobiło się tak ciepło, że aż ojciec okno wagonu otworzył. Widziałem w przejeździe Adelsberg, gdzie jest sławna na cały świat grota stalaktytowa; miejscowość ta leży w ślicznej dolinie. Widziałem też zdaleka morze Adryatyckie.

Od godziny 7-jej to jest od Lublany do Gorycy, stolicy hrabstwa Gorycy, przejeżdżaliśmy dziesięć tuneli, a w nocy było ich jeszcze więcej, ale ich nie rachowałem, bom spał. Staliśmy w hotelu pod Złotym aniołem. Miasto jest prawie zupełnie włoskie: wszystkie szyldy i napisy po włosku, służba, robotnicy, dorożkarze także Włosi. Wszyscy są tu bardzo grzeczni a miasto dosyć tanie.

Goryca po niemiecku Görtz, jest prawie tak duża jak Kraków, ale ludności ma tylko 21,000; leży nad rzeką Isonzo, w pięknej dolinie między wzgórzami. Zdaleka widać białe szczyty Alp Juliańskich. Na jednym ze wzgórz wznosi się klasztor Franciszkanów, w którego grobach pod kościołem spoczywają zwłoki wyganego z Francyi w r. 1830 Karola X i jego syna, a o pół godziny drogi za miastem jest tak zwana Święta góra, a na niej kościół z cudownym obrazem, nawiędzanym corocznie przez kilkadziesiąt tysięcy pielgrzymów. Goryca jest siedzibą arcybiskupa, posiada cztery czy pięć kościołów katolickich, jeden ewangelicki i zbór izraelski. Jest też tu poczta, telegraf, seminarjum, gimnazjum, ogród publiczny i stacya kolei za miastem.

List ten zaczęty w hotelu, kończę w mieszkaniu prywatnem, które ojciec wynalazł za 50 zlr. na miesiąc: mamy dwa pokoje umeblowane, z jednym tylko pięceni, i pozwolenie

spacerowania po ogrodzie właściciela domu. Zosi powiedzcie, że przywiozę jęj do zielnika liści cyprysu, cedru, a może i palmy, a dziś dołączam cztery listki laurowe. Klimat Gorycy jest południowy, i dla takich jak ja słabych na płuca, bardzo pożądaný. Obfituje ten kraj w ryż, kukurydzę, wino i morwę. Chów bydła, jedwabników, jako też owoców południowych, jest głównym zajęciem mieszkańców. Rośnie tu teraz kapusta i sałata, a dziś na obiad mieliśmy szpinak; róże mają pączki, a fijołki których przysyłam wam jeden kwiateczek, kwitną pod szkłem w inspektach. Widziałem też wczoraj

około 200,000 ludności, z których trzy czwarte jest Słowian, a reszta Niemców i Włochów. Kraik ten powstał z dawnego księstwa Fryulskiego, mianowicie z Fryulu austriackiego. Po śmierci ostatniego udzielnego hrabi goryckiego Leonharda, w wieku XVI zapisany został przez niego testamentem cesarzowi Maksymilianowi I-mu zatem przeszedł do Austrii. W r. 1809 zdobyty przez Napoleona, przyłączony został do Illirji, a w 1814 powrócił znów do Austrii. Więcej szczegółów o mieście i kraju przyślę wam w następnych listach.

Stefanek J.

PRZEŚLADOWCY PSZCZOŁ.

Znacie wszyscy mały pracowity owad, któremu zawdzięczamy świece naszych ołtarzy i miód doskonały, jak utrzymywano dawniej, najlepszy w kielichu, bo zapomina się przy nim o kłopotach i opowiada chętnie dawne dzieje.

Ciekawą jest historia o srogich nieprzyjaciółach i prześladowcach tęg biednej pszczołki, która nikomu nigdy nie nie zrobiła złego, broni tylko swęj własności.

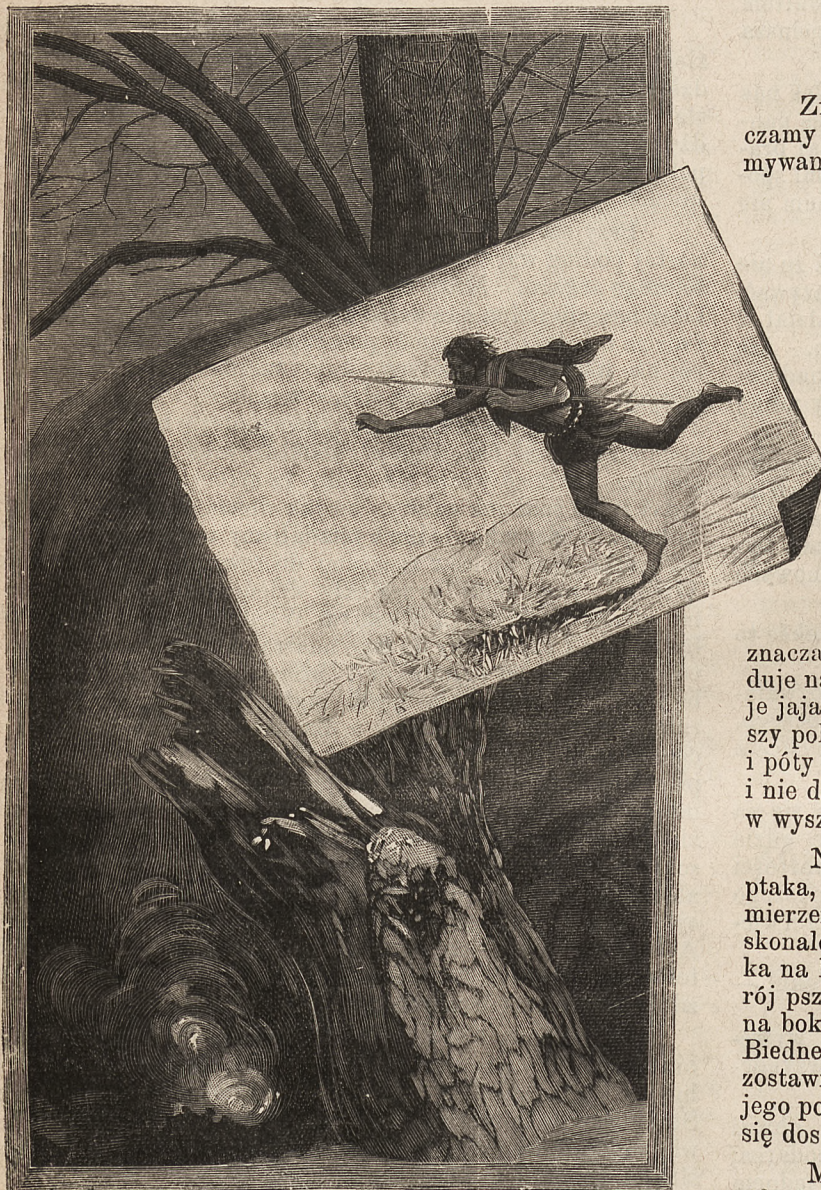
Do najgorszych z pomiędzy nich należy ptak, z którym ona wojuje zawzięcie w Afryce, bo na szczęście ten gatunek skrzydlatych jęg wrogów nie istnieje u nas. Ptak ten lubi niezmiernie miód, ale nauczony doświadczeniem, wie że żądła pszczoł kolą boleśnie, że nie jednego już psotnika pozbawiły oczu, cóż więc robi dowcipny ten ptaszek? Oto wpadł na pomysł, który go zabezpiecza, bo odkrywszy w lesie rój pszczoł osiadłych w drzewie, idzie szukać myśliwca, który żyjąc z polowania, rad się po drodze i w miód zaopatrzyć. Skrzydlaty rabuś, który zresztą nie odznacza się ani pięknem upierzeniem, ani śpiewem, i nie buduje nawet własnego gniazda, tylko jak nasza kukulka oddaje jaja pod cudzą opiekę, skrzydlaty ten rabuś więc odnalazłszy polującego na pszczoły człowieka, krąży nad jego głową i póty ćwierka i piszczy, póki nie zwróci na siebie uwagi, i nie da poznać, że gotów jest być myśliwemu przewodnikiem w wyszukaniu pszczoł.

Na znak porozumienia polujący zaczyna gwizdać na ptaka, mniej więcęj tak jak na wyźła, bo ten nowy spzymierzeniec oddaje mu tęg samą posługę. Rozumiejąc doskonale czego od niego żąda człowiek, przelatuje z krzaka na krzak i doprowadza go w końcu do drzewa, w którym rój pszczoł obrał sobie siedlisko, a potem ostrożnie usuwa się na bok, czekając spokojnie na należną sobie część zdobyczy. Biedne pszczoły podkurzone dymem z suchych liści, uciekają, zostawiając miód i wosk, myśliwy wszystko zabiera, a mały jego pomocnik zajada spokojnie słodki przysmak, który mu się dostał w nagrodę za zrobione odkrycie.

Mieszkańcy Australii inaczej znów radzą sobie, chcąc odnaleźć pszczoły. Niema tam ptaka-przewodnika, więc obmyślono inny sposób, za pomocą którego, pszczoły same przyprowadzają rabusia do gniazda.

Piękny pąsowy kwiat kaktusa mieści w sobie wiele słodkiego pyłku, wychodzi z niego pracowita pszczoła, a obciążona zdobyczą, nawet skrzydełka ma okryte tym pyłkiem. Pracownica poczeiwa chce właśnie frunąć i odnieść swą zdobycz do ula, kiedy nagle oblewa ją strumień zimnęg wody, odurzona traci prawie przytomność, a wtem... Zaczajony myśliwiec, polujący na miód i wosk, uważał dobrze, że mała robotnica weszła do kaktusowego kielicha. Przygotował więc wodę, oblał pszczołkę złapał odurzoną i zmoczoną, przykleił jęg do skrzydełka odrobinę bawełny, a potem ostrożnie położył owad na kwiatku i usunął się na bok. Co ztąd widziecie na rycinie naszęg.

Pszczoła uspokoiwszy się i przyszedłszy niespodziewanęg kąpieli, wraca do ula. B



Prześladowcy pszczoł.

w ogrodzie naszego gospodarza kwitnącą śniegułę. Przedwczoraj było 25 stopni w słońcu, a 15 w cieniu; wczoraj 20 w słońcu, a 13 w cieniu. Dziś w chwili gdy to piszę, a jest godzina 3 po południu, termometr pokazuje tylko 11, dzień pochmurny i słońce dopiero się ukazuje, ale powietrze zupełnie spokojne, bo miasto otoczone jest górami prócz od południa. Mimo tęg temperatury, mamy ślizgawkę; ojciec ją wczoraj oglądał. Gdzieś w cieniu pod górą jest trochę wody zamarzlęg; widocznie były tu już mrozy i w zaułku do którego słońce nie dochodzi, lód się dotąd utrzymał. Ślizga się tu kilkadziesiąt osób; będę i ja używał, gdy wy tam może w Saskim ogrodzie uciechy tęg mieć nie będziecie, jeżeli mróz nie dopisze.

Hrabstwo Gorycy obejmuje 87 mil kwadratowych, i liczy

my jak don Kiszot z wiatrakami, zabieramy się do walki ze spokojnymi zwierzętami.

— Baran dziki, a zwłaszcza baran górski nie jest wcale tak łagodnym jak baran domowy — rzekł Melchior. Nie napastuje ludzi, bo nie jest mięsożernym i żywi się tylko roślinami; ale potężne uderzenie ogromnymi, wygiętymi jego rogami, lub silnem widłowatym kopytem nie jest wcale przyjemnem, tembardziej, że bieży zazwyczaj całem wielkiem stadem. To które bieży ku nam, zdaje mi się ogromne i rozpedzone szalenie Strzeżmy się stanąć mu na drodze.

— Cóż pomoga nasze strzelby przeciw takiemu mnóstwu? — spytał Tomek.

— Mogą postraszyć stado i zmusić je do skierowania się w inną stronę.

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy przodownicy stada ukazali się na załamie drogi. Zwierzęta zatrzymały się na widok wędrowców i przypatrywały z podziwem przez chwilę. Baran przewodnik hałaśliwie wciągnął powietrze w płuca, uderzając nogą w ziemię gwałtownie, jakby tem nakazywał powstrzymać bieg pędzącemu za nim stadu, ale inne barany uniesione własnym rozpędem pędziły dalej zmuszając tem i wodza do biegu.

— O mój wuju! nie zabijaj tego biednego zwierzęcia! proszę cię! — wołał Tomek, gdy Melchior brał na cel.

Baran-wódz zbliżał się szybko, aż o jakie czterdzieści już kroków zwęszywszy zapewne dzikie zwierzęta uwięzione, panterę zwłaszcza, zwrócił się nagle w bok i znowu popędził galopem. Stado stanęło na chwilę, nie wiedząc co się dzieje, ale gdy następny baran z kolei odskoczył w tył, z jakimś chrapaniem pełen przerażenia, wtedy pędzące za nim, pojmując że straszny jakiś nieprzyjaciel jest przed niemi, zwróciły się w miejscu jak dwa pierwsze, i całe stado pognało z góry na dół na złamanie karku, z taką chyżością, że kamienie z pod kopyt rozlatywały się daleko, we wszystkich kierunkach. Jeden z największych baranów pośliznął się i spadł w głęboką dolinę w pośród łąny zboża. Stado nie zwolniło szalonego rozpędu aż dosięgło koryta małej rzeczki, niknącej wśród skał okolicznych.

— One rozum straciły — rzekł Tomek, śmiejąc się i patrząc za niemi.

— Chyba — odpowiedział Menito, śmiejąc się także — inaczej wiedziałyby że w Stanie Guerrero nie wolno jest cisnąć kamieni na pole sąsiednie.

— Szczęście, że nam dały pokój — rzekł Melchior.

Psy już od godziny były niewidzialne, gdy wtem usłyszano ich szczekanie i wycie w głębokim lesistym parowie poniżej wędrowców. Właśnie rozmyślano co ich tam mogło zwabić, gdy ujrano je jak wypadły z tamtąd, skoczyły ku drodze, a potem stanęły nagle przed kępą drzew na brzegu parowu. Tak stojąc, szczekały chórem gwałtownie nie ruszając się krokiem z miejsca. Nareszcie chart skierował się ku kępie drzew, węsząc po ziemi i skoczył w gestwinę, ale równie chyżo wyskoczył z niej napowrót, cały zboczony i pobiegł do myśliwych schowawszy ogon pod siebie, skomląc żałośnie.

— Tam jest puma!... a otóż go i macie!... — rzekł woźnica.

Zwierzę z rodzaju kota, a wielkości pantery wysunęło się z gestwiny i ostrożnie podeszło na brzeg jaru, tu położyło się, zbierając nogi pod siebie, a ogonem poruszając w lewo i w prawo, jak kot czający się do skoku na myszkę. Wędrowcy mogli mu się wtedy dobrze przypatrzeć. Był to przepyszny exemplarz czworonoga, o futrze płowem z ciemniejszymi plamami, zwany *lwem amerykańskim*, bo prawdziwy lew nie istnieje w nowym świecie, a imię amerykańskiego właściwe jest *kuguar* lub *puma* jak go z hiszpańska nazwał woźnica Piotrek. Ciągłe machając ogonem, zwierzę pełzając z blizy się do psów, które szczekając zajądło, przecież rozsądnie trzymały się zdala. Melchior sam nie wiedział co czynić, bo i pumę pragnąłby pojąć i lękał się, aby ten na psy nie skoczył; a wtem rozległ się wystrzał. Kuguar podskoczył a potem popędził z góry w dół po skałach, rycząc okropnie.

To woźnica wystrzelił.

Psy rzuciły się za lwem w pogoń z podwojonem szczekaniem, ale zawsze trzymając się w pewnej od niego odległości. Spadziłość kończyła się głęboką rozpadliną, niby paszcza armatnia, olbrzymia, jak też i nazywają takie rozpadliny w Meksyku; na dnie przepaści mruczał strumień. Dopadłszy brzegu przepaści, kuguar zebrał członki do skoku i jednym rzutem przesadził rozpadlinę na drugą stronę. Tu odwrócił się swolna z tym wyrazem wzdurliwej powagi właściwej temu rodzajowi, i rozciągnął się na skale na brzegu przepaści, jakby chciał podrażnić swoją krwią zimną, rozszalałą a bezsilną pogoń.

Pięciu psów zdołało zatrzymać się nad przepaścią, szczekając zajądło, ale szósty nie mógł zapanować nad siłą rozpędu, i stoczył się na dno rozpadliny, w której szum potoku zagłuszył rozpaczliwe jego szczekania.

Myśliwi chcieli koniecznie i próbowali przekonać się co się z nim stało, aby go poratować, ale przepaść była tak głęboka, stroma i ciemna, że nie pozostawało żadnej nadziei ocalenia biednego zwierzęcia.

Droga którą podróżni szli już od kilku godzin była niezmiernie kręta i zawrotna, to też Piotr ofiarował się wskazać inną daleko prostszą i krótszą.

— Tylko dodał — trzeba będzie żeby wasz przewodnik poprowadził mój wóz przez kilka godzin. Zmylić drogi nie może bo jest to jedyna droga wozowa przez te góry ścieżka dochodzi znów do niej z tamtej strony góry. Zabiorę jednak moję starą Korę, bo jest tak uparta, że Daby Simon nie dały sobie z nią rady, gdyby została bezemnie.

Mówiąc to odpręgl starą klacz idącą obok drugiego konia u wozu, u którego pełniła takie same obowiązki jak piąte koło u karety.

Ścieżka wśród przepaści stała się wkrótce tak spadziłą, że bardzo trudno było wdzierać się na nią. Jednakże Kora szła ciągle za swoim panem, posłusznie jak pies. Gdy kopyta nie były dostateczną pomocą we wdzieraniu się na skaliste wyżyny, konisko radziło sobie dziwnym sposobem, czepiając się zębami krzaków i korzeni po drodze i wdzierając się tak coraz wyżej, co w najwyższym stopniu zdumiewało Tomka. Była to prawdziwa górską szkapą.

— To jest płaszczyzna Tarifa — rzekł nowy przewodnik dosięgłszy małej przestrzeni utworzonej z płaskiego kamienia w pobliżu szczytów.

— Te góry pełne są jaskiń i szczelin, które doskonale dają pumom schronienie — zauważył Piotr. — To też już tylko tutaj istnieją one jeszcze, bo wszędzie zresztą poluje się na nie, liczba ich z każdym dniem się zmniejsza szybko; nie dziwiłbym się gdyby ich za kilka lat zabrakło.

Wędrowcy potrzebowali spocząć, postanowiono więc zatrzymać się pod drzewami w pobliżu, około których latały ptaki wielkości i barwy sójki, wyjąwszy tylko, że niebieska barwa na skrzydłach była ciemniejsza.

— Aha już wiem co to jest, tu się gnieźdzą „cornexy” — rzekł Menito przyglądając się ptakom.

— Już widzę czemu one tak latają — dodał Tomek — oto tam mają gniazdo na drugim drzewie, czekajcie pójdę po nie.

— Na miłość Bożką strzeż się pan, nie ruszaj je, jeżeli nie chcesz żeby na ciebie całe ich stado napadło w jednej chwili — zawołał Menito.

— To co? czy ty się boisz takich ptaków?

— Nie, nie boję się, ale wiem co to są te ptaki, a pan wcale nic o tem nie wiesz jak widzę.

— A więc się dowiem! — rzekł Tomek, wspinając się na drzewo. Gdy ojciec i matka właściciele gniazda ujrżeli Tomka, zaczęli wydawać straszne krzyki, które wnet spowodowały mnóstwo siostr, braci, wujów, stryjów, ciotek, krewnych i krewniaczek, ci zaś chórem zaczęli przeraźliwie pomagać wrzeszcze zagrożonym rodzicom. Mimo tego ogłuszającego koncertu, Tomek wdierał się coraz wyżej na drzewo.

SUCHY CHLEB.

Frانيا była chorowitem dzieckiem, pobłażano jęj zatem przez wzgląd na słabe zdrowie, a ona też skutkiem tego nabrała różnych wad nieznośnych. Między innemi, nie mając nigdy wielkiej ochoty do jedzenia, zwyczajnie jako niezdrowa, zaczęła okrutnie wybredzać, wszystko jęj było niedobre i niesmaczne, zawsze chciało się nie tego właśnie co dawano. Napróżno bona tłómaczyła że musi być dobrem to co mama daje, i że są dzieci nieszczęśliwe, które z suchego kawałka chleba byłyby rade.

— Co ty tam robisz, malutki? — spytała Frania, chociaż chłopak większy był od nięj.

— Chciałbym złowić jaką rybkę, tobym ją uprażył na węglach i zjadł, ale tu niema widać rybek, a mnie się jeść chce okropnie...

— Jaka szkoda że nie wzięłam z domu ciastka — zawołała Frania i szukając w kieszeni, dodała wyjmując zeń czarny i zeschnięty kawał razowego chleba. — Bo tego przecież byś nie jadł... Ale biedny chłopak ujrzawszy chleb, rzucił się nań gryząc go tak chciwie, aż mu trzeszczała w zębach kromka wpół zeschnięta.

— Jakto?... Taki okropnie głodny jesteś? — zawo-



Suchy chleb.

Frانيا wzruszała tylko na to ramionami nie wierząc wcale. Pewnego popołudnia przy podwieczorku rozgrymasiła się tak okropnie, że bona rady sobie z nią dać nie mogła, a dziewczynka bardzo jeszcze niemądra, jak widać, oświadczyła że pójdzie sobie precz z domu, w którym nie dostaje tego co lubi.

— Jak ci się podoba, moja Franiu — odrzekła bona — włożę ci tylko w kieszonkę kawał czerstwego razowego chleba abyś nie umarła z głodu. Frania wzruszyła ramionami i poszła ani wiedząc gdzie i poco.

Szła, szła, aż ją nogi zabołały, wtedy obejrzała się: była sama jedna koło jakiegoś ogrodzenia z kamieni, kilka drzew zieleniło się tu i owdzie a nad małą strugą siedział ubogi chłopak i trzymając kij ze sznurkiem coś tam w nięj upatrywał.

łała Frania, przerażona do najwyższego stopnia tym widokiem. Ale chłopak nie miał czasu nawet odpowiadać, tak gryzł zapamiętale, a Frania patrząc na to z przestachem, poraz pierwszy w życiu przyszło na myśl, że to co bona mówiła o głodnych nieszczęśliwych dzieciach, było prawdą, i ogarnął ją taki lęk okropny, że na raz wybuchnęła płaczem, wołając ze wszystkich sił:

— Mamó! Tatku! Bono ratuj! ratujcie! — Bona która ciągle szła z daleka za kapryśną dziewczynką, kryjąc się za ogrodzeniem kamiennem, przybiegła zaraz, i wzięła Franię na ręce, a ta łkając przytuliła się do nięj.

Odtąd nigdy już Frania nie wybredzała w jedzeniu, bo ilekroć kładła do ust przysmaczek, zawsze stawał jęj w oczach biedny głodny chłopak, gryzący twardą kromkę suchego chleba.

Powiatka o Stasiu, który starszej siostry nie chciał słuchać.

Na dworze mroźno i zawierucha,
Sople się iskrzą na krzewów szczycie,
Lecz nasz Jaś woła, udając zuchla,
„Toż to się ślizgać dziś znakomicie!
„Skończyłem lekcye, byłem w kościele,
„Jużem niedzielne zrobił zadanie;
„Dawaj Franusiu drugie śniadanie,
„Przygotuj łyżwy, podaj szynel!

* * *

„Nie idźże dzisiaj, siostra doń rzecze,
„Takie tam straszne zimno na dworze,
„Co się odwlecze, to nie uciecze.
„Dzisiaj ci uszy zmarzną nieboże”.

* * *

Lecz Jaś nie piecuch, bohater przecie.
O! aby jego zimno nie straszy,
Pójdzie chociażby odmroził uszy;
Przecie ślizgawki nie będzie w lecie!

* * *

„Przynajmniej proszę nie zdjąć szyneli,
„Na ręce ciepłe włóż rękawiczki,
„Choćby się z ciebie koledzy śmieli,
„Nie zważaj na nich, słuchaj siostrzyczki”.

* * *

Jaś sypnął w kieszeń garstkę pieniędzy
Nowiutkie łyżwy pochwycił w dłonie,
I do cyklistów pobiegł czempredzję,
Żeby się ślizgać w kolegów gronie.
Tu w jednej chwili łyżwy przypina,
Na lód się puszcza, objeżdża w koło;
Choć w ciepłym futrze jeździ chłopczyzna,
Trochę mu zimno — ale wesoło!

* * *

Nagle! spotyka Lucia i Frania,
Dwóch dużych chłopców, choć z jego klasy...
Na jednej ławce robią zadania,
Chociaż on mały, oni — dryblasy.

* * *

„Hej, hej, wołają, panie kolego,
„Któż to w szynelu jeździ po lodzie?
„I w rękawiczkach jeszcze do tego!
„To u cyklistów wcale nie w modzie.
„Ściągać kolega te fircyfuszki.
Puszczaj się śmiało, miej tęgą minę!
„A nie! to schowaj w kalosze nóżki
„I nos zmarznięty włóż pod pierzynę!

* * *

Jaś się zawstydział! „Cóż to myślicie,
„Żem zmarzluch może! Szynel pod ławę
Rzucił z pogardą, (niemądre dziecię!)
I z kolegami zaczął zabawę.
Minęła jedna, druga godzina;
Mróz pod stopami istry jak gwiazda.
Nasz chłopak marznie, lecz tęga mina,
„Toż mi dopiero po lodzie jazda”!

* * *

Lecz za to później? o! nie wesoło
Się zakończyły Józia swawole;
Na długi czas się pożegnał z szkołą;
Dziś leży biedak, w gardle go kole,
„Czemużeś wołał kolegów rady,
„Niż słuchać przestróg twój starszej siostry?
„O! teraz leżysz chory i blady,
W piersiach ci kaszel dokucza ostry.
I podczas kiedy inni się bawią,
Ciebie wyrzuty sumienia dławia.

Gabryela Jasieńska.

PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNE ZAŁĘSKĄ.

I.

— Ot już i po wszystkim — mówił do siebie półgłosem dwunastoletni Wicus, spuściwszy nos na kwintę i dźwigając na szczupłych plecach duży pakunek z książkami; wakacje były ale ich już niema i znów trzeba maszerować do klasy, żeby ja!... tu urwał, bo przypomniał sobie połajanie mamy, gdy takiego wyrażenia użył do siostry swojej, Józi. Ej co tam! pomyślał po chwili wahanja, klasa to przecież nie Józia, za klasę nikt na mnie gniewać się nie będzie. Ach jak to nudno będzie teraz się uczyć. Poco ludzie naukę wymyślili, to zawracanie głowy tylko i kwita, jak mówi kucharka Marysia, i ona ma rację, choć przecie do gimnazjum nigdy nie chodziła. Gdybym ja był tatusiem, nigdybym synowi nie kazał się uczyć.

Te i tym podobne głębokie myśli, tak zajęły naszego młodzieńca, że szkoła zupełnie wyleciała mu z pamięci, rozmyślał tylko nad marnościami tego świata, jakimi są książki, zadania i inne, równie niepożyteczne w jego przekonaniu, urzędzenia. Za to polowanie na wsi, huśtawka, lub kąpiel w sadzawce, to dopiero rozkosz; a tu w tej szkaradnej Warszawie nawet ptaszka złapać nie można...

Wtem dalsze rozmyślanja przerwał mu silny ból, nosa. Wicus leżał jak długi na ziemi, a przed nim stał obdarty i brudny ulicznik, trzymając się za nos, który z nosem Wicusowym tak raptowną zawarł znajomość.

— Aha! złapałeś zająca panie kawalerze — zawołał — w Warszawie na ulicy zająca, ho, ho! to mi dopiero myśliwy! i aż boki zrywał z serdecznego śmiechu.

Wicus w pierwszej chwili nie zrozumiał, co od niego chciano, o jakim zającu, o jakim myśliwym mówił ten chłopiec. Rozejrzał się w około i spostrzegł, że oprócz ulicznika, stały nad nim także dwie pensyonarki którym on swoją leżącą na trotuarze osobą, zastąpił drogę do szkoły. Dziewczynki śmiały się tak głośno, że zawstydzony Wicus zerwał się na równe nogi i z zarumienioną od gniewu twarzą, zwrócił się do ulicznika, by go ukarać za wyrządzoną sobie obelgę. Lecz ten był o tyle roztropny, że w słusznym przewidywaniu nieprzyjemnych dla siebie następstw, uciekł już i z daleka z drugiej strony ulicy, skrobał marchewkę na palcu.

— Fel jak on jest źle wychowany — rzekła jedna pensjonarka do drugiej, rzucając pogardliwe spojrzenie na swawolnego ulicznika — widziałas Lolę, on umyślnie nogę temu miłemu chłopcu podstawił.

— A jakże, widziałam; ten kawaler może lekcye sobie powtarzał i nie uważał wcale na niego; bardzo mi go żal.

— I mnie także — rzekła Zosia — tak mu ładnie w tym zielonym mundurku, i obie dziewczynki spojrzały z wdzięcznym uśmiechem na Wicusia, który słysząc ich rozmowę, zaraz nabrał fantazyi, wyprostował się z zadowoleniem, rzadka przedtem mina znikła zupełnie, ustępując miejsca zwykłej pewności siebie, przestał myśleć o zemście, które uczucie uważał za niegodne drugoklasisty; zdjął z głowy czapeczkę i zrećnie uklonił się panienkom, z podziękowaniem za życzliwe słowa.

Zosia i Lola, nie znajdując już przeszkody na swęj drodze, poszły dalej i wkrótce skrzyły w boczną ulicę. Wicus westchnął i wprost przed siebie szedł powoli, bo o gimnazjum zupełnie zapomniał. Gdy wszedł na dziedziniec szkolny, panująca tam cisza przeraziła go trochę. Czy to jeszcze tak wcześniej? pomyślał, ale gwar, jaki usłyszał w gmachu gimnazyalnym upewnił go o smutnej rzeczywistości. Było już kwadrans po dziewiętej.

— A to śliczna awantura, spóźniłem się o całe piętnaście minut, — i nieciekawa była minka Wicusia, gdy wchodził do klasy i gdy trzydzieści dwie pary oczu ze zdziwieniem zwróciły się ku niemu. Ale jeszcze mniej ciekawa była mina pana profesora, to też Wicus wołał na niego nie patrzeć; cicho, skromnie, ze spuszczonej w dół oczyma, przesliznął się przez rzędy ławek i w milczeniu zajął swoje miejsce.

Dnia tego matka Wucusia długo czekała na niego z obiadem; dawno minęła godzina czwarta, a synek nie wracał. Wszyscy byli bardzo głodni, więc pani Z. kazała podawać do stołu. Gdy koło godziny siódmej pan uczeń powrócił ze szkoły, już było w pokoju sprzątnięte i ani wzmianki o obiedzie. Chłopczykowi zrobiło się jakoś smutno, poszedł więc do pokoju mamy i opowiedział jęj cały swój nieszczęśliwy ranny wypadek. Pani Z. uśmiechała się przy tem opowiadaniu, i widząc, że całym powodem tęg sprawy, było tylko roztrzepanie jęj synka, za które i tak srogo upokorzeniem kozy został ukarany, kazała mu podać smaczny obiadek, grzejący się w piecu dla niego.

II.

Przez cały następny tydzień Wicus starał się dobrem sprawowaniem i pilnością zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie sprawił na zarządzie szkolnym pierwszym swem przewinieniem, chodziło mu bowiem o opinię dobrego ucznia, nietylę z własnego przekonania, (bo w sekrecie dodajmy, że był z niego nawet porządny kawał próżniaka) ale przez miłość dla mamy, której marzeniem było, żeby Wicus wyrósł na porządnego i rozsądnego człowieka.

— A bo to ja jeszcze nie jestem porządnym człowiekiem — mawiał nieraz, przed dużym lustrem w salonie, przypatrując się swęj małej figurce, przyczem stawał

na palcach, ażeby być wyższym, ale wtedy ten trzpiot Józia wołała:

Aha! na palcach stoisz, na palcach! to mi dopiero sztuka; a gdybym ja stanęła na stole, tobym i od ciebie nawet była wyższa.

Wucusia odkrycie to wprawiło w zły humor.

— Et, zawsze niemądra jesteś, już ja ci to powiadam; i teraz także niemądrą rzecz powiedziałaś: stół przecie nie jest twój, a palce moje własne.

— Prawda — przyznawała Zosia z głębokim przekonaniem, i zawstydzona przestawała dalszej sprzeczki.

— A widzisz! nie mieszaj się nigdy do starszych, już ja ci to powiadam — kończył z miną zwycięzką Wicus — a Józia milkła jak trusia.

Była to jedyna istota, której Wicus umiał zaimponować swą wielkością, choć nieraz więcej od niego miała rozsądku; wszysey inni śmieli się z zarozumiałości chłopczyka, a pani Z. martwiła się nią naprawdę, starając się go wszelkimi sposobami z tęg wady wyleczyć.

Pewnego dnia wrócił Wicus z gimnazjum w różowym humorze, ale w tak różowym, że do nauki wcale mu się wziąć nie chciało.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

(Ułożona przez Manię Zaranek dla najlepszej mamy na dzień jęj imienin).

Początkowe i końcowe litery stanowią życzenie. Sylaby: ~~Za~~—~~Żup~~—~~I~~—~~CC~~—~~zi~~—~~Jed~~—~~I~~—~~dzi~~—~~Wil~~—~~jąc~~—~~be~~—~~do~~—~~O~~—~~Dach~~—~~E~~—~~Zam~~—~~le~~—~~helm~~—~~gi~~—~~e~~—~~Re~~—~~da~~—~~A~~—~~ze~~—~~Na~~—~~men~~—~~bóz~~. — Znaczenie wyrazów: 1. Odmiana wyrazu oznaczającego kopalnię soli w 2-im przyp. 1. m. 2. Miasto w Japonii. 3. Dwie spółgłoski. 4. Rzeka w Afryce. 5. Rodzaj poezyi w 1-ym p. 1. m. 6. Zwierzę jadalne. 7. Część domu. 8. Odmiana nazwy kwiatów. 9. Mieszkanie wojska. 10. Imię męskie. 11. Imię żeńskie. 12. Wyraz zakończający modlitwę. 13. Imię męskie.

REBUS.



ROZWIĄZANIA DO N-ru 5-go.

S z a r a d a.

Łamigłównki gloskowej: Litera K.

Skrzynka do listów.

Czarnookiej z Puszczy posyłamy chętnie żądane numera i liścik drukujemy, a za jej serdeczne dla nas wyrazy, serdeczne również żalążamy uściśnienie.

Żabka z Podola nie tak znów brzydko pisze, zresztą zaradzi temu konkurs kaligrafii, tymczasem mile witamy w gronie korespondentek malutką tę Żabkę.

Biała Akacyo, więc zanim staruszką zostaniesz, chcesz nowymi tryumfami uwieńczyć dni twój młodości? Pomyślimy może o tem...

Blondynie, cierpliwości więc, „tylko jak można najprędzej”!

Nie wiemy jeszcze, czy będzie mogło stać się zadość życzeniu **Czarnego Gołąbka**, ale *uprzejmą prośbę* zawsze staramy się uwzględnić.

Pomarańczarka rzymska, nowa i miła zresztą korespondentka, jest ciekawą! temu zaprzeczć niepodobna. Nie we wszystkim jednak potrafimy zadowolnić jej ciekawość. Na liściki odpisuje osoba, kochająca działwę serdecznie, Gołąbka jest... Gołąbką, lada chwila odfrunąć gotową, szczególnie, gdy się ją pytaniami spłoszy. Zadanie konkursowe niedługo będzie ogłoszonem. Co do lamigłówek, szarad, zagadek, tych istotnie mamy stosy, na które się wcale nie „użalamy”, ale właśnie z powodu ich nawału, nowo-przysłane długo muszą czekać na swoje kolej. Liściki powinny być przysyłane na osobnych karteczkach i o stosowanie się do tego warunku bardzo prosimy, bo nam to roboty oszczędza.

Marnotrawnemu synowi, który jest córeczką, Złotą Przędzą, serdecznie dziękujemy za pełne serca słowa. Staną one za wszystkim życzeniom...

Co nam bynajmniej nie przeszkadza **Litwince z nad Szczary** podziękować za te, jakie nam przysłała. Hojnie nam płacicie za pracę, pocziwe kochane dzieci... O konkursie przemysłowym już zwolna, zanim go ogłosimy dla starszych, musimy dać młodszemu naszym czytelnikom, dawno przez nich pożądane zadanie: konkursowe... kaligraficzne.

Kochana **Aka** już się milutkim swoim liścikiem najskuteczniej poleciła naszym „względom”.

Posłaliśmy już **Prawdzie** żądany początek powieści i cieszymy się, że postąpiła nareszcie zgodnie z „przekonaniem”. Nie zawiodło cię, dziewczeczko...

Orla chętnie także witamy, w nadziei, że król ptaków dobrotliwym się okaże dla tworów nie obdarzonych królewską.ścią.

Kampanella i Równianka zgodne widać siostrzyczki, ucieszyły nas wiadomością, że odebrana od nas odpowiedź sprawiła im przyjemność.

Sz. P. Hel. Poz. w K. Dziękujemy za wyrazy uznania, nad które milsziej nie pragniemy nagrody. Pisma wyprawimy pod właściwym adresem. Przysłane nam z opłatkiem życzenia, streszczają w sobie wszystko, czego człowiek pragnąć powinien. Bóg zapłać za nie...

Miła **Niezapominajko z nad Warty**. Dzięki ci składam za twą odpowiedź; jakże się cieszę, że chcesz korespondować ze mną. Donoszę ci że mieszkam w gub. Grodzieński i uczę się w domu; dalsze szczegóły o mnie dowiesz się, czytając list do Litwinki w numerze 33 1889 roku. Napisz mi co o sobie, czy mieszkasz w ks. Poznańskim? gdzie się uczysz i co robisz w wolnych chwilach? Jaką dostałaś nagrodę na ostatnim konkursie? Ściskam cię serdecznie i posyłam szaradę. *Litwinka z nad Szczary*.

Droga **Sarenko z nad Moroczu**! Za liścik serdecznie ci dziękuję, domyślałam się kim jesteś, nazwisko twoje od D. się zaczyna? **Gabryelcia** już nieźle pisze, lecz Staś i Anulka bawią się tylko dotąd. Mam nadzieję, że kiedyś się poznamy bliżej, tymczasem zaś przez nasze Pisemko możemy korespondować. Stokrotce z nad

Stochodu, **Niezapominajce z nad Warty**, **Gwiazdce Jerozolimskiej**, **Jaskółce z nad Ussy** i **Królowej Wrózek** noworoczne życzenia przesyłam. *Czeska Niezapbudka*.

Miła **Liro Śpiewna**! Czemu tak długo na odpowiedź czekać mi dajesz? A wy staruszki **Niezabudko Czeska**, **Westalko** i **Cyganieczko z nad Wisły** czy chcecie zemną korespondować? Głoksynio pisałam do ciebie liścik w numerze 51, tylko redakcja nie zamieściła twego pseudonimu! Stokrotko z nad Stochodu czy czytałaś rzecz o „**Psiejdzie**”? Całuję was serdecznie mile siostrzyczki, *Kapłanka Znicza*.

Kochane: **Biała Chmurko**, **Wodne Bączywie z Warty** i **Brzózko srebrna**! **Biała Chmurko** nazywałeś się **Zosia Ż.**, masz 11 lat. Nie łatwo się domyśliłam. **Wodne Bączywie**, jeśli się chcesz czegoś o mnie dowiedzieć, to przeczytaj w numerze 42 mój list do **Firlećki**. Bardzo mi się podobała twa powiastka **Brzózko**, ciewam ile masz lat? Całuję was drogie siostrzyczki, *Kuropatwa z nad Ikopetiu*.

Miła **Gwiazdo**! Zdaje mi się że jesteś **Jadwisią H.** wiem od kogo masz o mnie wiadomości. Dziękuję ci za liścik i proszę o pisywanie do mnie. Do przyszłego konkursu chciałabym także należeć, jeżeli zadanie nie będzie nad moje siły. **Hania** pewnie wkrótce do ciebie napisze. *Kwiat Paproci*.

Kochane **Mgło** i **Muszek** brzęcząca! Znam was z opowiadania; tobie **Mgło** na imię **Mania** i masz lat 12, a tobie **Muszek** **Emcia** i masz lat 9. Nazwisko wasze zaczyna się od **P.** Mieszkacie w **Hrubieszowie**. Zgadnijcie kto jest *Głoksynia*.

Dziękuję ci kochana **Falo Morska** za twoją odpowiedź i donoszę, że jestem w równym wieku z tobą, mieszkam w **Warcie** na imię mi **Wacława**. Droga **Wiochno z pod Lublina**, podobałaś mi się bardzo z „**Wieczorów**”, napisz więc do mnie co o sobie. Ściskam was serdecznie, *Niezapominajka z nad Warty*.

Drogi **Poranku majowy**! Jestem bardzo szczęśliwa, że chcesz korespondować ze mną, muszę ci się zatem przedstawić, mam lat 13, na imię mi **Janina** i mieszkam w mieście gubernialnem, położonem najbliżej pruskiej granicy, zgadnij w jakim? Donieś mi co o sobie. Posyłam ci zadanie konikowe, lecz nie wiem czy je redakcja uzna za dobre. Całuję cię serdecznie i proszę bardzo o pamięć dla *Kwiatu Lotosu*.

Drogi **Poranku majowy**! Ja miałabym cię zapomnieć? O! nie, nigdy! Przepraszam bardzo, że nie odpisałam na twój miły liścik, za który przesyłam ci milion całusów, ale temu wszystkiemu winno roztargnienie, gdyż jestem dosyć roztrzępaną i zdawało mi się, że ci już odpisałam, a może i tak było, tylko przez prędkość nie włożyłam kartki do koperty, jak to już nieraz uczyniłam, ale się spostrzegłam, chociaż po wysłaniu listu. Napisz do mnie czy ładnie jest tam na Podolu? Tymczasem ściskam cię serdecznie. **Gospośi z nad Warty** i **Różyccze białej** także przesyłam uściśnienia. *Niezapominajka z nad Warty*.

Kochana **Czaplo z nad Pohanki**! Nie jestem „**Wiewióreczką Inflantską**” i nie pisuję do „**Wieczorów**”, Cieszę się nadzieją, że gdy zdrowie mojej mamusi się poprawi, przyjedziemy do was. Twoich braciszków **Tadzia** i **Ignasia** widziałam w **Holakach**, ale kiedy poznam ciebie, **Kasię**, **Marysunię**, **Melę**, **Hermanka** i **Stasia**?! Ściskam was wszystkich, wasza *Pszczółka z Wiaźmy*.

Podobał mi się bardzo twój pseudonym miły **Fioleczku z nad Warty**, i pragnąłbym z tobą korespondować, zdaje mi się że cię znam, mieszkasz w **Warszawie**, nazywałeś się **Zosia W.** Napisz mi czy i tobie tak jak mnie najlepiej się podoba w **Wieczorach** „**Szesnaścieletni Wojewoda**”. *Cierń*.

Kochana **Gwiazdo**! Bardzo mi się uśmiecha myśl i pisywanie do ciebie i poznania cię kiedyś; niestety! prawie nie znam panierek w moim wieku. Jakie są początkowe litery twego imienia, i w jakich okolicach mieszkasz? Mnie na imię **Celina** mam lat 13. Chorowałam i dla tego długo ci nie odpisywałam. Żegnaj cię, *Myszka biała*.